

## Katapulta, czyli przygody polonistyki niezdyscyplinowanej

ABSTRACT. Nawarecki Aleksander, *Katapulta, czyli przygody polonistyki niezdyscyplinowanej* [The catapult, or adventures in undisciplined Polish philology]. „Przestrzenie Teorii” 34. Poznań 2020, Adam Mickiewicz University Press, pp. 209–222. ISSN 1644-6763. DOI 10.14746/pt.2020.34.9.

This article is about the possibilities of transdisciplinary research and was written from the perspective of the specialist in Polish philology. The paper also refers to proposals presented at the 12th Convention of Specialists in Polish Studies [Zjazd Polonistów] (2011) and the volume *Nowa humanistyka* (*New Humanities*) (2017). These texts postulated transforming the specific “identity” of Polish philology into cultural studies or anthropology of literature and an attempt to “build bridges” with other specializations so far falling within the paradigm of interdisciplinarity. The author proposes a better way to cross the traditional divisions between the humanities and sciences and presents the term “transdisciplinarity”, which is somehow connected to the metaphor of “jumping over the wall”. Consequently, he proposes the figure of the catapult, which is used in poetics, is derived from the military machine, and is now understood as a rescue launcher. Thinking in terms of catapult assume a ferocity and the risk of entering foreign territory, the need to enter into a direct, concrete and difficult relationship with another world (of matter, laws, methods and problems).

KEYWORDS: catapult, transgression, Polish philology, interdisciplinarity, transdisciplinarity

### Katapulta

Jakże niezwykle to słowo! Koniecznie trzeba postawić w tym miejscu wykrzyknik, bo „katapulta” zachwyca ekspresją brzmienia, niesamowitą wręcz energią na granicy eksplozji, a nawet iluzją groteskowego wybuchu (katapult), jakby była wyrazem dźwiękonaśladowczym. Podobnym urokiem akustycznym i artykulacyjnym oczarowało mnie niegdyś słówko „klopsztanga”, regionalne określenie trzepaka uruchomiło ciąg skojarzeń sięgających dzieciństwa, czego efektem finalnym był śląski zwrot „pod klopsztangą” wykręcony wspólnie ze Stefanem Szymbutką<sup>1</sup>. Podobne nadzieje pokładam w „katapultcie”, ufam, że energia tego słowa też może pociągnąć, porwać, a nawet wystrzelić w nieznane rejony. Tym razem nie idzie o mentalną podróż w intymny zakątek przeszłości, ale w kierunku przeciwnym – w szeroko otwartą przyszłość naukowego myślenia – rozumowania wedle katapulty.

<sup>1</sup> Ze wspólnego namysłu nad frapującym wyrazem wyłonił się mój esej *Pod klopsztangą*, a potem seria tekstów pisanych w trybie dialogu i zebranych w tomie S. Szymbutki (*Nagrobek ciotki Cili*, Katowice 2001) i moim (*Lajerman*, Gdańsk 2010).

Katapulta trafiła do polszczyzny z łaciny (*catapulta*), ale ma grecki rodowód (*katapultes*). Należy do malowniczej rodziny wyrazów obdarzonych szczególną obrazowością, jak katarakta, katastrofa, katedra albo katafalk. Ekspresję zawdzięczają one prefiksowi *kata*, który w złożeniach oznacza relacje przestrzenne – pod, w dół, przeciw, w tył, a zatem ruch kontrujący, sprzeczny z tendencją, ale też wzmacniający, osadzający w gruncie, całkowity, pełny. Druga część słowa – *paltēs* pochodzi od czasownika *pallein* – miotać. W polszczyźnie nie budzi ona odzewu, natomiast swojsko brzmi w śląskich uszach za sprawą czasownika „pultać” oznaczającego pluskanie lub parskanie. To wyrażenie dźwiękonaśladowcze imituje efekt gwałtownego wyrzucania płynu, przeważnie wody, ale też śliny, a wtedy odnosi się do wypływania jej nadmiaru w potoku mowy. Oznacza wówczas – gadulstwo i paplaninę, *fulanie*, *głyndzenie*, *fandzolenie*.

Ekspresyjne walory katapulty uzasadnia też desygnat – starożytna machina wojenna do miotania ciężkich pocisków (kamieni, belek, płonących żagwi, a nawet owadzich gniazd). Używana była jeszcze w średniowieczu, a nawet w czasach Leonarda da Vinci, który poszukując pracy, deklarował swoje walory: „umiem sporządzać bombardy łatwo przenośne, które wyrzucają małe kamienie na kształt burzy, powodując wielką szkodę”<sup>2</sup>. Leonardo potrafił budować także bardziej nowoczesną broń prochową („działa, moździerze, pociski ogniowe o kształcie praktycznym i pięknym”), ale dodawał: „Tam, gdzie nie można posługiwać się działem, mogą zastąpić je katapulty i inne narzędzia do rzucania pocisków o skutku zadziwiającym i dotychczas nieznanym”<sup>3</sup>.

Niedługo później katapulty definitywnie zniknęły z arsenałów, wyparte przez artylerię, ale powróciły w wieku XX już w innej funkcji, jako urządzenia ratunkowe stosowane w lotnictwie. Służą tam – jak wiadomo – do wyrzucania ludzi, a także rzeczy (wyposażonych w spadochron), z zagrożonego katastrofą samolotu. I to drugie, nowoczesno-lotnicze znaczenie słowa zyskało dziś przewagę nad historycznym.

Katapulta jest zatem maszyną zdolną miotać rozmaite obiekty z wielką siłą i prędkością, co czyni z niej narzędzie zniszczenia i mord, ale też ocalenia. Ta dwoistość funkcji wnosi pewną dozę dramatyzmu, a nawet wzniosłości, którą – jak się zdaje – wyczuwał Leonardo. Eksponując w tym tekście osobę renesansowego geniusza, zwracam uwagę na mniej znaną cechę wynalazcy, który świadom był swoich braków retorycznego wykształcenia i dlatego ze zdwojonym krytycyzmem oglądał słowa pisane własną

---

<sup>2</sup> L. da Vinci, *List do Ludwika Moro. 1482*, [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, wyb., przeł. i wstępem opatrzył L. Staff, Warszawa 1958, s. 252–253.

<sup>3</sup> Tamże, s. 253.

ręka<sup>4</sup>. Z podobną dociekliwością warto przyjrzeć się „katapultcie”, która jest wyrażeniem atrakcyjnym także dla literaturoznawcy. Wiele pojęć z zakresu poetyki i retoryki zaczerpniętych zostało z terminologii wojennej (np. *awan-garda*), ze sztuk walki (*puenta*, *riposta*, *chwył*), czy choćby tylko fizycznego konfliktu (*cezura*, *sarkazm*). Szczególnymi terminami są „przerzutnia”, „wyrzutnia” (*elipsa*), których dynamika jest uderzająco zbieżna z mechaniką bojowej maszyny, podobnie jak w przenośni, czyli metaforze (choć brakuje jej gwałtowności). O pokrewieństwie, czy może tylko powinowactwie etymologicznym wolno mówić w przypadku pojęć literackich „ukierunkowanych” tym samym przedrostkiem: *katabasis* (zejście), *katachreza* (nadużycie, zбочzenie), *katastasis* (ustawienie) czy *katataleksa* (zakończenie), które pomimo podobnej ekspresji nie mają związku z maszyną bojową. Więż rodziną potwierdza dopiero wspólnota rdzenia, co ujawnia się z mocą w kwartecie bardzo ważnych terminów – *parabola*, *hiperbola*, *emblem* i *symbol*. Ich źródłosłów – *bola* – oznacza „rzut”, a pochodzi od przywoływanego wcześniej czasownika *pallein*, który zapisany nieco inaczej (*ballein*) ma taki sam sens: „rzucić, miotać, ciskać”<sup>5</sup>. A stąd już bardzo blisko do rzeczownika *ballista*, czyli „bombarda” (jak pisał Leonardo, a spolszczył Staff), to przecież inne określenie, wręcz synonim „katapulty”! Albowiem rdzenna częśćka *pul-pall-ball-bol* stanowi semantyczne, a zarazem brzmieniowe sedno zarówno **balisty**, jak **katapulty**. Dodam, że ten sam źródłosłów widać i słycać w terminologii sportowej, zarówno w antycznym *dyskobolu*, jak w nazwach bardziej nowoczesnych dyscyplin sportowych typu *football*, *handball*, *basketball*, *waterball* itp. Łatwo zauważyć, że pierwotny grecki czasownik *pall* określający rzut, uległ nominalizacji, stając się nazwą (wy) rzucanego obiektu. W kontekście sportowym chodzi oczywiście o piłkę, która po angielsku i po niemiecku nazywa się *ball*, po francusku *balle*, po hiszpańsku *bola*, po włosku *palla* itd. Przeszliśmy zatem od sztuki wojennej do fizycznych igraszek i rekreacji, a morderczy pocisk, kula (kulka) czy bomba staje się ludyczną piłką czy piłeczką. Pamiętać warto jeszcze o bilardzie, którego krągłe, twarde i dźwięczne bile poruszały wyobraźnię wielu poetów, zaś jego elektryczna wersja zaintrygowała Rolanda Barthes’a, porównującego japoński automat do gry paczinko z zachodnim flipperem, który raził go seksualną symboliką penetracji: „chodzi o to, aby jednym poprawnym strzałem uzyskać *pin-up* (przyszpilenie), które całkowicie oświetlone na

<sup>4</sup> Por. I. Calvino, *Wykłady amerykańskie*, przeł. A. Wasilewska, Gdańsk–Warszawa 1986, s. 69–71.

<sup>5</sup> O związku symbolu, paraboli i hiperboli ze źródłowym słowem *ballista* (katapulta) oraz dynamiką pocisku, wymiarem epifanii, a także agonicznego spotkania inspirująco pisała L. Nawarecka (*Symbol*, [w:] *Ilustrowany słownik terminów literackich*, red. Z. Kadłubek, B. Mytych-Forajter, A. Nawarecki, Gdańsk 2018, s. 460).

tablicy bilardowej, drażni, prowokuje, podnieca i rozbudza oczekiwanie”<sup>6</sup>. Natomiast w nieco podobnej maszynie losującej używanej w loteriach liczbowych, kulka kierowana jest do nieprzewidywalnego celu. Oba urządzenia wyglądają niby miniaturki średniowiecznej maszyny i obie zabawki kojarzą się z losem, liczbą i przypadkiem, co przypadkowe nie jest, bo ważne słowa związane z lotem kuli – *parabola* i *hiperbola* – zadomowiły się wcześniej w matematyce, zaś im pokrewne – *karambol* i *problem* – znaczą to, co znaczą i czym straszą.

Odkrywamy zatem w katapulcie całą wiązkę sensów: motoryczną grę, retoryczną figurę i problem. Można kontynuować ten ciąg, eksponując choćby gwałtowność wlotu kojarzonego z natchnieniem czy inwencją, ale to chyba wystarczy, żeby pojąć „humanistyczną” fascynację tą machiną. Dla mnie katapulta to przede wszystkim figura ruchu myśli i jej siły sprawczej.

## Przeskoczyć mur (2011)

O katapulcie pomyślałem w 2011 roku w trakcie katowickiego Zjazdu Polonistów, słuchając inauguracyjnej debaty, do której jako gość specjalny zaproszony został filozof – Andrzej Szahaj. W referacie zatytułowanym *Ku humanistyce zintegrowanej* przywołał i rozbudował tezę Anny Pałubickiej o ryzyku wąskiej specjalizacji w nauce<sup>7</sup>. W ostatnim słowie zaapelował spontanicznie do zebranych na sali polonistów, byśmy śmiało przeskakiwali przez mur naszej domeny. Nie mam pewności, czy cytuję dokładnie (zamiast muru mógł pojawić się płot), bo pamiętna apostrofa nie weszła do drukowanej wersji tekstu. Pewnie autor uznał ją za retoryczny przydatek i to dość ryzykowny, bo protekcyjnie traktujący gospodarzy. Niełatwo sobie wyobrazić, jak nasza polonistyczna gromada – zachęcona przez filozofa – daje susa w nieznanie... Większość z nas tkwi przecież głęboko w macierzystym gruncie badań języka lub literatury; taka zmiana wymagałaby chyba katapulty.

Dalsze zjazdowe dyskusje okazały się surowym rozrachunkiem z polonistycznym zasiedzeniem i samoograniczeniem. Wojciech Kalaga rozpoznał tu „literaturoznawstwo wsobne, skoncentrowane na literaturze w kontekście własnego narodu, własnej historii i własnej lokalnej kultury”, co tłumaczył „narodowowyzwoleńczym bagażem”<sup>8</sup>. O skutkach owej „wsobności” z per-

<sup>6</sup> R. Barthes, *Imperium znaków*, tłum. A. Dziadek, Warszawa 2004, s. 84.

<sup>7</sup> Por. A. Szahaj, *Ku humanistyce zintegrowanej i krytycznej*, [w:] *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz, Katowice 2013, s. 367–371.

<sup>8</sup> W. Kalaga, *Inte/gracja a granice dyscypliny*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 85–86.

spektywy multikulturalizmu mówił Bogusław Bakuła, przestrzegając także przed niefortunnym nazwaniem polonistyki mianem „filologii narodowej”<sup>9</sup>. Praktycznie i dydaktycznie nastawiony Jarosław Płuciennik postulował kształcenie na poziomie doktorskim „podwójnego filologa” (co najmniej dwujęzycznego), gdyż do roli atrakcyjnego społecznie mediatora nie nadaje się filolog skupiony „wyłącznie na jednym języku i jednej kulturze”<sup>10</sup>. Jeśli Bakuła apelował ogólnie („polonistyka powinna być światem otwartym dla każdego”), to Płuciennik już konkretnie rozważał przekroczenie tożsamościowego modelu filologii, a chyba najdalej posunął się Marian Bielecki, rozważając głośno – co zdążymy zrobić „zanim ostatecznie porzucimy paradygmat Filologii Narodowej”<sup>11</sup>? Ta kwestia ma co prawda ironiczne, czy wręcz szydercze zabarwienie, ale słyhać w niej zapowiedź końca polonistyki i konieczność zbiorowego katapultowania się ze wspólnoty filologów.

## Polonista potrafi

Słuchając w Katowicach serii samooskarżających referatów i dyskusji, miałem wrażenie, że zjazd to jest nasz ostatni, skoro poloniści nie chcą być dłużej polonistami. Wstydzą się naszej ciasnoty, zamknięcia, a nawet – zamurowania; ale czy zawsze było tak źle?

Wszak myśląc o filologii, matce naszej, nie czuję ograniczenia, choćby tylko dlatego, że polonistyka ma dwie strony (językoznawczą i literacką), a w alegorycznym portrecie jawi się wielowymiarowa, a nawet hybrydalna. Widzę ją z ręką zanurzoną w rękopisach, drugą wertuje bibliograficzne rejestry, we włosach ma kolorowe fiszki, nos przytkany archiwalnym kurzem, w ustach smak dawnej polszczyzny, uszy trzęsą się od poetyckiej eufonii i oczy otwierają się szeroko na feerie poetyckich obrazów. A jeszcze czoło zmarszczone od zawilosci teorii, w tyle głowy pewnie czają się kompleksy i fantazmaty, a stopą przyciska do ziemi węzowo skłębiony żywioł historii<sup>12</sup>.

Dzieci takiej matki powinny być kompetentne w kilku czy kilkunastu zakresach, które dosłownie i metaforycznie łączą się z miłością do słowa. Nie dość na tym, wedle obserwacji Magdaleny Rabizo-Birek większość współ-

<sup>9</sup> B. Bakuła, *Narodowa czy rodzima? Filologia polska w perspektywie multikulturalizmu*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 203.

<sup>10</sup> Por. J. Płuciennik, *Czy studia III stopnia mogą mieć charakter narodowy?*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 141–142.

<sup>11</sup> M. Bielecki, *‘Horror vacui’*, czyli od *Filologii Narodowej do Teorii – i z powrotem*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 22.

<sup>12</sup> Ta próba alegoryzacji Filologii jest ledwie cieniem apoteozy, jakie dokonywali starożytni, a zwłaszcza M. Capella (por. T. Bilczewski, *‘Ancilla philologiae, ancilla nationis?’ Komparatystyka a filologia narodowa*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 227–228.

czesnych filologów akademickich obok uprawianej specjalności ma na boku przynajmniej jedną pasję poznawczą – od teatru i kina, przez komiks i muzykę, po obserwację ptaków<sup>13</sup>. Nie zgadzam się jednak z dopowiedzeniem, jakoby dzisiejsi poloniści-multiinstrumentaliści różnili się pod tym względem od „starych mistrzów, (jego archetypem może być Profesor Stanisław Pigoń)”<sup>14</sup>. Jest wręcz przeciwnie, wystarczy, żeby dawna studentka Stefanii Skwarczyńskiej przypomniła sobie wszechstronność i wszędożyłkość swojej Mistrzyni. Cóż dopiero mówić o naszym protoplaście, Aleksandrze Brücknerze, który zasłynął jako odkrywca-awanturnik rozcinający grzbiety ksiąg i ich oprawy, ale był też autorem pionierskiego *Słownika etymologicznego* i wzorcowej *Historii literatury polskiej*. Trudno ogarnąć horyzont jego zainteresowań obejmujących psalmy, mitologię słowiańską i litewską, innowierców, romantyków czy choćby literaturę rosyjską (zwłaszcza Puszkina), o której pisał, jeśli się nie mylę, po niemiecku. Ale czy węższy był diapazon młodszego o pokolenie Kazimierza Wyki? Historyk literatury (co najmniej dwu epok) z doświadczeniem filologiczno-edytorskim (Mickiewicz), robił wycieczki w stronę socjologii i psychologii (*Pokolenia literackie*) oraz lingwistyki o profilu statystycznym (*Słowa klucze*) i jeszcze dalej, w głąb historii sztuki (Wyspiański, Matejko, Makowski), ale też wracał do samej literatury, jako krytyk, wirtuoz pastiszu (*Duchy poetów podśluchane*) czy świetny pisarz (*Zycie na niby*). Jego uczeń, a mój nauczyciel, Ireneusz Opacki, w swojej młodzieńczej tezie o *Krzyżowaniu się postaci gatunkowych* śmiało skorzystał z inspiracji biologicznej (darwinizm), a pisząc studium *Pomnik i wiersz* – otworzył się na kontekst materialności i pamięci (antycypując *memory studies*), zaś w ostatnich pracach skamandryckich postulował socjokulturowe studia nad mediami i popkulturą międzywojnia. To zaskakująco śmiałe dokonania badacza, który uważał się za strukturalistę wiernego formalistycznemu postulatowi badań nad „literackością”. Podobnych ograniczeń i skrupułów nie odczuwała chyba nigdy Maria Janion interesująca się gotycyzmem, Słowiańszczyzną, Żydami, feminizmem, wampirami, maskami, dziećmi, filmem, mistyką, psychiatrią humanistyczną... Do końca tej litanii daleko, bo właściwie interesuje ją niemal wszystko, każdy temat, motyw, fakt, a nawet drobiazg z dowolnej dziedziny, który może się przydać w procesie czytania i rozumienia książek. Taka postawa bywała gorsząca dla literaturoznawców, więc Janion desperacko postulowała ideę *transgresji*. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku znalazłem się w jej „transgresyjnym” seminarium i chyba nigdy go nie opuściłem, bo czymże jest katapulta, jeśli nie maszyną do gwałtownego przekraczania granic?

<sup>13</sup> M. Rabizo-Birek, *Polonista jako „multiinstrumentalista”*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 440.

<sup>14</sup> Tamże.



## Przebijanie murów (2017)

Polonista pamiętający protoplastów może być dumny, ale przecież nikt z tego grona gigantów nie mógł się pojawić na polonistycznym zjeździe w roku 2011. Jeśli współczesność filologii polskiej, niezręcznie nazwanej w Katowicach „filologią narodową”, wydaje się zamknięta, to nie z powodu domniemanego zagrożenia nacjonalizmem, imperializmem, ksenofobią czy prowincjonalizmem, ale raczej dlatego, że padła ofiarą nowoczesnej i uniwersalnej „specjalizacji naukowej”.

Na myśli mam narastający od lat osiemdziesiątych XX wieku dystans pomiędzy lingwistami i literaturoznawcami, a bardziej jeszcze wieloletnią izolację między historykami i teoretykami literatury, pogłębioną przez nieufność wewnątrz obu obozów – staropolan, romantologów i współczesników, albo strukturalistów i hermeneutów. Jedni gardzili staroświeckim głędzeniem, drudzy nuworyszowską pogonią za nowinkami, a wszyscy mieli poczucie, że to właśnie oni uprawiają prawdziwą naukę. To sytuacja z ubiegłego stulecia, kiedy granic pilnowali strażnicy spójności i żandarmi naukowych rygorów, nie pozwalający teoretykowi prowadzić uniwersyteckich zajęć z literatury dawnej i *vice versa*. Teraz przygasły plemienne swary, ale też osłabł cały korpus „wyspecjalizowanej” filologii.

Jak zaradzić kryzysowi, o którym tak gwałtownie debatowano w roku 2011? Odpowiedzią zdają się dwie konferencje zorganizowane w roku 2016 (w Krakowie i Poznaniu) pod hasłem *Nowa humanistyka* (z militarnym podtytułem – *Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*). Uczestniczyło w nich ok. siedemdziesięciu referentów, także spoza polonistyki i spoza filologii, a podsumowaniem jest imponujący tom; na okładce wyeksponowany został fragment recenzji podkreślający ratunkowy sens przedsięwzięcia: „Odpowiedzią jest budowanie mostów, przebijanie murów, łączenie się humanistów z nie-humanistami, aby uzyskać utraconą sprawczość”<sup>15</sup>. Są to słowa Krzysztofa Kłosińskiego, który mówiąc o „przebijaniu murów”, jakby parafrazował postulat „skakania przez mur”, otwierający sześć lat wcześniej katowicki Zjazd Polonistów (gospodarzem spotkania był Kłosiński). Teraz nawiązywał literalnie do Bruno Latoura (zatrokanego niemocą współczesnej humanistyki), ale atrybucja frazy nie jest istotna, wszak pozostajemy w kręgu tej samej, tyleż utartej co żywotnej frazeologii – od przeskakiwania muru (wzorem Wałęsy?), po muru rozbijanie (na modłę Kaczmarek?). Tak czy inaczej, do obu symbolicznych czynności może się przydać bombardra.

<sup>15</sup> Por. *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, red. P. Czaplinski, R. Nycz oraz D. Dominik, J. Bednarek, A. Dauksza, J. Misun, Warszawa 2017.

## Stare problemy

Na naszym Zjeździe w roku 2011 lekarstwem na polonistyczne zaco-fanie zdawało się „ostateczne” przekwalifikowanie filologów polskich na kulturoznawców, komparatystów, antropologów literatury, ewentualnie w bezprzymiotnikowych literaturoznawców (co ostatnio zadekretowała ustawa). Tracąc silną tożsamość, mieliśmy zyskać otwartość, odwagę, aktywność, a także atrakcyjność. Nie ma jednak pewności, czy komparatysta albo antropolog literatury byłby bardziej pożądanym partnerem dla ekonomisty albo socjologa niż tradycyjny polonista. Bo mury, o których myślimy, nie znikną nawet po reformie („rozbiórce”) polonistyki, raczej się odsuną dalej, albo wyrosną nowe, jeszcze wyższe. Podziały między dziedzinami pozostają, a prawdziwa otchłań zieje między naukami ścisłymi i nieścisłymi, o czym już w latach trzydziestych XX wieku pisał Heidegger, a po wojnie Karl Jaspers:

Pomiędzy przedstawicielami obu nauk – przyrodniczych i o duchu – najczęściej rozciąga się przepaść i tylko nieliczni kierują wzrok na drugą stronę. Przepaść jest tak głęboka, że tylko rozróżnienie obu grup naukowców jako *sciences* (identyfikowani z przyrodoznawstwem) oraz *lettres* (nauki jako literatura), pokazuje nam wyraźnie, co się właściwie dzieje<sup>16</sup>.

A do tego dochodzą jeszcze hierarchie i zmienna zresztą dystrybucja prestiżu, zazwyczaj dotkliwa dla humanistów, co Jaspers poczuł na własnej skórze. Dlatego filozof zwrócił uwagę, że „sens nauk zawsze związany jest z jednością nauk”, a zarazem przestrzegł przed stadną stagnacją: „życie nauki znajduje się w ustawicznym ruchu”<sup>17</sup>.

Konieczny jest zatem ruch ponad płotami czy murami, którego gwarantem miał być postulat interdyscyplinarności. Przyjazne spotkania rozmaitych dziedzin (i ich reprezentantów) powinny najpierw poluzować, a potem rozpuścić dzielące nas granice, a przynajmniej poszerzać strefę buforową. Tak się jednak nie stało mocą magicznego hasła „INTER”. Interdyscyplinarne mityngi (seminaria, panele, konferencje, publikacje) emanowały nudą, pogłębiały brak wzajemnego zainteresowania („oni nie mają nam nic do powiedzenia...”). Zabijały zatem ciekawość i odbierały ochotę zbliżenia, a nawet wiarę w jego realność. Pokazywały, że trudno jest myśleć o współpracy, tym bardziej o wymiernych korzyściach dla obu stron. Im gorzej sprawdzała się ta idea, tym mocniej jednak przywiązywali się do niej

<sup>16</sup> K. Jaspers, *Filozofia*, t. 1, *Filozoficzna orientacja w świecie*, przeł. M. Żelazny, Toruń 2019, s. 300.

<sup>17</sup> Tamże, s. 225, 227.



urzędnicy zarządzający nauką. „Tonący ‘Intera’ się chwyta” – jak zobrazował tę klęskę Adam Dziadek<sup>18</sup>.

Więc już nie „INTER”, lecz „TRANS” stał się nadzieją humanistyki; różnica przedrostków jest istotna, a wynikająca z niej lekcja dosadna, a nawet brutalna, bo transdyscyplinarność, transdziedzinowość czy transdyskursywność polega na wtargnięciu w cudzy obszar, toteż skojarzenia z piraterią, abordażem czy włamaniem są uzasadnione. Lepiej i słuszniej zapewne byłoby myśleć o „kładzeniu mostów w miejsce murów”, ale niestety nie widzę takich inwestycji<sup>19</sup>. A może jest to nowe określenie starej interdyscyplinarności? Więc trzeba przekraczać miedze, co oznacza wchodzenie w szkodę, a kto się na to odważy jest intruzem, który na dodatek nie opanował miejscowego języka (terminologii, metod, specyfiki badawczej, istoty problemów). Jako transgresorzy jesteśmy laikami i dyletantami, a może nawet analfabetami, którzy aspirują do partnerstwa z prawdziwymi, zastanymi na miejscu ekspertami! To jest bulwersujące przedsięwzięcie, nieuchronnie zuchwałe, może nawet szalone, a na pewno ryzykowne.

## Święci bombardierzy

Kto mógłby nauczyć nas skakania ponad bariery i zasieki, aby przywrócić utraconą jedność nauki? Naukom ścisłym na pewno patronować mógłby wyznawca metodologicznego anarchizmu – Paul Feyerabend. A po drugiej stronie, czyli humanistycznej, na pierwszą linię wysuwają się pewnie filozofowie z kręgu French Theory – Foucault, Derrida i Deleuze (który stosował zresztą metaforę maszyny wojennej), bo oni buszowali po wszystkich niemal fakultetach uniwersytetu i marzyli o odzyskaniu wspólnoty. Ale dla mnie kluczowe są trzy inne figury. Jako pierwszy Gaston Bachelard, działający po obu stronach przepaści – zgłębiający matematykę, fizykę, chemię, aby budować naukę o dziejach nauki (zwłaszcza naukowej wyobraźni), a z drugiej strony uprawiający krytykę literacką (twórcze połączenie fenomenologii i psychoanalizy). Świadomy przy tym – jak chyba nikt – otchłannej różnicy języka, wyobraźni, celu czy metody – dzielących naukę od sztuki słowa (z którą splatała się krytyka literacka). A jednak badał obie dziedziny w sposób konsekwentny i perfekcyjny. Szanował przy tym ich rozbieżność i nieuchronną polaryzację, nie popadając w rozdwojenie jaźni ani w badaw-

<sup>18</sup> A. Dziadek, *Cały świat jest tekstem! Polikontekstualność i transdyskursywność*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 39.

<sup>19</sup> R. Nycz, *Nowa humanistyka w Polsce: kilka bardzo subiektywnych obserwacji, koniektur, refutacji*, [w:] *Nowa humanistyka...*, s. 29.

czą schizofrenię. Jak to możliwe? Dlaczego nie rozważa się dziś tego fenomenu podwójnej kompetencji, niezachwianego balansowania nad przepaścią?

I przypadek drugi, odmienny, wręcz kontrastowy, to Michel de Certeau, wszechstronnie wykształcony jezuita (psychoanalityk, historyk, socjolog, językoznawca, medioznawca itd.), a zarazem obsesyjny pasjonat mistyczno-diabolicznego fenomenu ks. Surina, stał się w oczach innych uczonych „kłusownikiem, nie spełniając reguł żadnego konkretnego gatunku czy wymogów określonej dyscypliny naukowej”<sup>20</sup>. Kursował czy raczej „kłusował” po rozmaitych terytoriach, programowo używając sztuczek i podstępów, by pokonać (ominać) wszelkie terytorialne podziały w myśl zasady, że „wyznaczenie własnego miejsca to ‘gest kartezyjański’. Gest typowy dla naukowej, politycznej czy wojskowej nowoczesności”. Jego reakcją na te podziały było nieposłuszeństwo i naukowe „chuligaństwo”. Zapewne dzięki niemu de Certeau osiągnął sprawczość i synergię, wszak jego koncepty i badania (np. nad życiem codziennym w mieście) osiągnęły społeczny oddźwięk, a nawet praktyczne wdrożenia, poruszając innych specjalistów, aktywistów, polityków.

I wreszcie trzecia osoba, już spoza uniwersytetu, a nawet spoza nauki, to Heda Lamarr, wiedeńska aktorka, „najpiękniejsza kobieta świata”, seks-skandalistka, która w roku 1941 opracowała i opatentowała system fal radiowych służący sterowaniu torpedami, na którym oparła się później telefonia komórkowa, Wi-Fi oraz Bluetooth. Pracując nad tym wynalazkiem, korzystała z pomocy zaprzyjaźnionego kompozytora, używając przy tym taśm perforowanych stosowanych w mechanizmie staroświeckiej pianoli. Dokonanie Lamarr wydaje się cudem, być może łatwiej je zrozumieć, jeżeli pamiętamy, że „źródeł nowoczesnej nauki daremnie szukać na uniwersytetach: XVII-wieczna rewolucja naukowa dokonała się poza ich murami, w obrębie domów eksperymentalnych organizowanych przez arystokratów”<sup>21</sup>.

## Na naszym podwórku

Bliższy ziemi i naszym czasom, a wreszcie sztuce słowa, zdaje się przypadek lekarza, który poważnie interesował się literaturą i potrafił ją wykorzystać w medycznych eksperymentach. Myślę oczywiście o Freudzie, a także jego uczniach i naśladowcach, choćby o Rene Girardzie, którego psychoanalityczna reinterpretacja kategorii *mimesis* uczyniła ją atrakcyjną poza obszarem poetyki. Jeszcze szerszy zasięg i użyteczność zyskały takie

<sup>20</sup> L. Giard, *Dzieje pewnych badań. Wprowadzenie*, [w:] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, tłum. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008, s. XXIX.

<sup>21</sup> Por. Ł. Alefowicz, R. Sojak, *Arystokraci i rzemieślnicy. Synergia stylów badawczych*, Toruń 2015, s. 185.

pojęcia, jak „dialogiczność” czy „karnawałowość”, wypracowane przez Michaiła Bachtina, nikomu bliżej nieznanego literaturoznawcę ze Związku Radzieckiego. Natomiast niespodzianką rozgrywającą się na naszych oczach jest eksportowy sukces fachowej i dość tradycyjnej metody badania prozy; rzecz jasna idzie o narratologię, która zrobiła furorę wśród psychologów, socjologów czy politologów, natomiast historycy absorbowali ją z oporem. Badaczom dziejów trudno było pojąć, że historię się pisze (dosłownie i metaforycznie), a np. komentatorzy sportowi szybko zrozumieli, że jedna drużyna narzuca drugiej swoją narrację.

Widać, że daleki desant czasem się udaje, a bliższy, więc ostrożniejszy, kończy się porażką. Być może dałoby się wyjaśnić ten paradoks działaniem katapulty, która wyrzuca obiekty z ograniczoną przewidywalnością.

## Moje wycieczki

Myślenie, a nawet pisanie o katapultie sprawia mi szczególną przyjemność. Być może jest to kwestia wyobraźni i temperamentu, bo w dzieciństwie ciągle czymś rzucałem – śnieżkami, kamieniami, strzałkami (nawet wynikały z tego kłopoty) i skakałem z pasją. W podstawówce na lekcjach WF-u zyskałem przydomek „Piłka”, ze względu na osobliwy styl skoku wzwyż. Później, po studiach, były to już wysoki intelektualne, choćby przekorne zainteresowanie ks. Baką, albo sceniczne wystawienie tekstu Jakobsona (*Poetyka w świetle językoznawstwa*) w formie punk-rock opery. Pisząc teksty polonistyczne, raz po raz wskakiwałem na teren muzykologii, botaniki, zoologii, teologii, religioznawstwa, ornitologii, a także chemii i matematyki. Próbowałem również kolektywnego przekraczania granic, już to organizując z przyjaciółmi „gościnne” konferencje (*Starość, Szybkość, Śląsk inaczej*), już to redagując *Ilustrowany słownik terminów literackich*. Ułożyłem programowy tekst (*Na boku*) otwierający teorię literatury na pomysły pisarzy, a wreszcie projektowałem czy symulowałem nowe obszary transgraniczne – mikrologię, zoofilologię, parafernologię, ozorologię czy stomatopoetykę.

Może ten wykaz brzmi chępliwie, ale końcowy bilans zysków okazał się skromny, myślę o umiarkowanym rezonansie w świecie literaturoznawczym, a tym bardziej wśród „obcych”, którzy nawet nie zauważyli moich prób zbliżenia się do nich. Być może za mało było w nich „innowacyjności”<sup>22</sup>, a może lokowały się w nieproduktywnej strefie INTER?

---

<sup>22</sup> Por. R. Nycz, *W stronę innowacyjnej humanistyki polonistycznej: tekst jako laboratorium. Tradycje, hipotezy, propozycje*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 109.

Krytycy interdyscyplinarności wykazują, że 'bycie *inter*' jest po prostu złudzeniem lub jedynie założeniem, w praktyce bowiem mamy do czynienia albo z poszerzaniem nadal tylko pojedynczej dyscypliny, która anektuje nowe terytoria, albo z wytwarzaniem zupełnie nowej, która anektuje swoje instrumentarium, odnosząc się do zgromadzonej dotychczas wiedzy, albo z „niedyscyplinarnością”, ubogim i bezmyślnym eklektyzmem<sup>23</sup>.

Gdybym miał bronić swoich prób działania „poza” albo „na boku”, chętnie nazwałbym je „wycieczkami”. Słowo to od XIX wieku oznacza „krótką wyprawę, podróż niedaleką, przejażdżkę, przechadzkę”, ale ufundowane zostało na starszym, militarnym znaczeniu wyrazu – „wypad niespodziewany na nieprzyjaciela z twierdzy”<sup>24</sup>. Jeśli podejmowałem takie wycieczki, to nie tylko z ciekawości, ale z poczucia zmęczenia czy znużenia przewidywalnością polonistycznych sposobów czytania tekstu. Wyrywałem się z filologicznej twierdzy, by ze słabym rozeznaniem i uzbrojeniem wywalczyć u sąsiadów coś innego, nowego. Zamysł bywał śmiały, nawet buńczuczny, ale efekt nieoczywisty – czasem ledwie spacerowy, innym razem turystyczny, może sportowy? Nie mnie oceniać fortunność własnych publikacji z pogranicza dyscyplin, ale mam poczucie, że dwie spośród tych „wycieczek” miały inną jakość, bo doszło w nich do „zderzenia” z obcym przedmiotem badań i obcymi badaczami. To przygody ważne dla opisu działania katapultowej myśli, dlatego o nich opowiem.

Pierwszy przypadek miał miejsce w Katowicach w roku 1993, w gabinecie Zakładu Teorii Literatury, w czasie rozmowy ze studentami, kiedy pomiędzy książkami i służbowymi dokumentami zauważyłem porzuconą pustą donicę, a w niej wyrastającą pokrzywę. Zdziwienie było tym większe, że działo się to w środku zimy. W aseptycznym centrum mojego polonistycznego „gniazda” zobaczyłem obiekt doskonale obcy, jakby zjawę z innego świata. Przeżyłem to niby epifanię i potem przez kilka miesięcy próbowałem poznać całą dostępną wiedzę na temat gatunku *Urtica* (pytałem botaników, chodziłem w teren, nawet piłem pokrzywowe nalewki i wywary). Poczucie głębokiej empatii z „palącą” rośliną dawało mi nadzieję innego postrzegania świata i literatury, co w poetyce manifestu zapisałem na okładce *Pokrzywy* – „Próbuję spojrzeć na arcydzieła literatury polskiej (m.in. Mickiewicza, Słowackiego, Hieronima Morsztyna) z perspektywy... przydrożnego chwastu”<sup>25</sup>.

Drugie zdarzenie miało odwrotny przebieg, tym razem to ja znalazłem się w obcym świecie – na dentystycznym fotelu. Miałem zaklejone usta, ale otwarte uszy, więc dobiegły do mnie fragmenty dyskursu stomatologicznego,

<sup>23</sup> R. Sendyka, *Sutura, czyli pytanie o podmiot studiów interdyscyplinarnych*, [w:] *Przyszłość polonistyki...*, s. 359.

<sup>24</sup> M. Arct, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1916, s. 571.

<sup>25</sup> A. Nawarecki, *Pokrzywa. Eseje*, Chorzów–Sosnowiec 1996.

dokładnie zaś uwagi dotyczące przewrotu, jaki dokonuje się w rozumieniu i leczeniu bruksizmu. Zdumiony usłyszałem, że zgrzytanie zębami jest nie tylko istotne, ale wręcz pożądane dla funkcjonowania całego organizmu, a zwłaszcza sfery psyche. Rewolucyjna siła tej myśli wgniotła mnie w fotel, bo zrozumiałem, że podważa potoczne i literackie rozumienie zgrzyoty i zgrzyźliwości, a także „piekielne” toposy zgrzytania znane z Biblii czy Dantego. Jednak przygoda „wiedzy niezdiscyplinowanej” zaczęła się dopiero wtedy, gdy otwarłem usta i spróbowałem porozmawiać o tych rozterkach z uzbrojoną w wiertło prof. Jolantą Kostrzewą-Janicką; jakiś czas później razem interpretowaliśmy wiersze Mickiewicza i wspólnie dyskutowaliśmy nad projektem klinicznego testu dotyczącego bruksizmu<sup>26</sup>.

Powiedzmy z mocą, że transdiedzinowość wymaga bezpośredniego kontaktu, naocznego, a nawet dotykającego, konkretnego, materialnego, wręcz somatycznego. Nie jest chyba przypadkiem, że przez całe życie miałem problemy z zębami i zawsze kręciłem się wśród pokrzyw, a podobnie „szorstkie” i „palące” okazało się spotkanie z przedstawicielem innego świata. Jakby przekraczało horyzont „filozofii spotkania”, a jego koniecznym efektem była interakcja nazywana w cybernetyce „sprężeniem zwrotnym”. Bez tego warunku pozostajemy w sferze „inter”, czyli na spacerze, który może być całkiem przyjemny, a nawet pożyteczny, ale wtedy niepotrzebna jest katapulta.

W przywołaniu katapulty chodzi bowiem o ruch myśli odbijających się od gruntu, wzlatujących, ale wracających z impetem ku ziemi, często gwałtownie, dotkliwie, aż do bólu.

## BIBLIOGRAFIA

- Afeltowicz Ł., Sojak R., *Arystokraci i rzemieślnicy. Synergia stylów badawczych*, Toruń 2015.
- Arct M., *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1916.
- Barthes R., *Imperium znaków*, przeł. A. Dziadek, Warszawa 2004.
- Calvino I., *Wykłady amerykańskie*, przeł. A. Wasilewska, Gdańsk–Warszawa 1986.
- Giard L., *Dzieje pewnych badań. Wprowadzenie*, [w:] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.
- Jaspers K., *Filozofia*, t. 1, *Filozoficzna orientacja w świecie*, przeł. M. Żelazny, Toruń 2019.
- Nawarecka L., *Symbol*, [w:] *Ilustrowany słownik terminów literackich*, red. Z. Kadłubek, B. Mytych-Forajter, A. Nawarecki, Gdańsk 2018.
- Nawarecki A., *Lajerman*, Gdańsk 2010.

<sup>26</sup> Por. mój tekst: *Stomatopoetyka (projekt, koszmar, marzenie)*, [w:] *Fragmenty dyskursu maladycznego*, red. M. Ganczar, I. Gielata, M. Ładoń, Gdańsk 2019, s. 53–71; a także: M. Nikodem, *Zęby – zgrzytanie i życie*, [w:] *Fragmenty dyskursu maladycznego...*, s. 72–87.

- Nawarecki A., *Pokrzywa. Eseje*, Chorzów–Sosnowiec 1996.
- Nawarecki A., *Stomatopoetyka (projekt, koszmar, marzenie)*, [w:] *Fragmenty dyskursu maladycznego*, red. M. Ganczar, I. Gielata, M. Ładoń, Gdańsk 2019.
- Nikodem M., *Zęby – zgrzytanie i życie*, [w:] *Fragmenty dyskursu maladycznego*, red. M. Ganczar, I. Gielata, M. Ładoń, Gdańsk 2019.
- Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, red. P. Czapliński, R. Nycz oraz D. Dominik, J. Bednarek, A. Dauksza, J. Misun, Warszawa 2017.
- Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz, Katowice 2013.
- Szymutko S., *Nagrobek ciotki Cili*, Katowice 2001.
- Vinci L. da, *List do Ludwika Moro. 1482*, [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, wyb., przeł. i wstępem opatrzył L. Staff, Warszawa 1958.